

Iwan Wyrypajew

JEDYNE
NAJWYŻSZE
DRZEWA NA ZIEMI

Nowa redakcja

Przekład Agnieszka Lubomira Piotrowska

Od autora: „Pierwszą wersję tej sztuki napisałem w 2021 roku, niemal rok przed wybuchem wojny. Od tego czasu, z różnych powodów premiera sztuki się nie odbyła. Teraz, w czasie wojny, postanowiłem powrócić do tej sztuki i przygotować jej nową edycję. A oto nowa edycja utworu i wydaje mi się, że powrót do starej wersji nie ma już sensu, ponieważ z jednej strony istota utworu pozostała taka sama, a z drugiej strony niektóre tematy, dialogi i cechy strukturalne zostały uporządkowane zgodnie z aktualnym czasem. Zatem, wystawiając na scenie lub czytając w domu, skorzystajcie z tego proponowanego nowego wariantu (ostateczna wersja powinna być datowana 06.07.2022), na początku którego znajduje się tekst autora, który aktualnie czytasz. Życzę wszystkim Wesołych Świąt w przyszłym roku” - Iwan Wyrpajew.

TRZECIA REDAKCJA (POLSKA) 09.11.2022.

*„Drzewa są wierszami, które ziemia pisze na niebie. Powaliliśmy je i zamieniliśmy w papier,
abyśmy mogli zapisać naszą pustkę.”
(Khalil Gibran)*

*Tę sztukę poświęcam mojej córce Mai (kiedy dorośnie).
Pamiętaj o swoim drzewie.*

Osoby:

Sandy – 35/40 lat.

Dorothy – 35/40 lat.

Bonch – 38/50 lat.

Na scenie Sandy i Dorothy.

SANDY. No więc Bonch prawie w każdą sobotę chodzi do Grotenheim Park do drzewa Sama i prosi o przebaczenie?

DOROTHY. Całkowicie idiotyczne działanie, prosić drzewo o przebaczenie za to, co stało się z rzeką.

SANDY. Prosi o przebaczenie za to, że rzeka zabrała jego małego synka, a on sam pozostał przy życiu.

DOROTHY. Tak, ten straszny wypadek, o Boże! Ale przecież tam chyba nikt nie był winny? Po prostu taki potworny zbieg okoliczności.

SANDY. No wiesz! Właściwie to zawsze ktoś jest winny.

DOROTHY. Co masz na myśli?

SANDY. No, zawsze jakiś nieuważny kontroler źle pokierował samolot przy lądowaniu i wszyscy zginęli.

DOROTHY. Tak, ale jak ta zasada ma się do przypadku z rzeką?

SANDY. Rzeka to swego rodzaju kontroler.

DOROTHY. O mój Boże, Sandy!

SANDY. Lubisz, kiedy tak żartuję?

DOROTHY. No kurwa, jasne, że tak!

SANDY. A co najbardziej cenisz w naszej relacji?

Pauza.

DOROTHY. Pewnie to, że obie, ty i ja nie lubimy tych wszystkich ludzi, którzy tak cenią własne życie.

Pauza.

SANDY. No tak!

DOROTHY. Chciałoby się, żeby jakimś ludziom syn utopił się w rzece, a potem płakaliby noce i dnie na okrągło.

SANDY. No, tak. Dlatego wszyscy są w głębokiej dupie, bo wszyscy zaczęli udawać, że niby tutaj jakoś żyją. Albo że to ich życie jest dla nich rzekomo naprawdę ważne. Ci politycy, niech ich chuj strzeli, wszystko są gotowi udawać, nawet samych siebie udają, jedno wielkie popierdolone show.

DOROTHY. Ciekawe, co czują rodzice, kiedy ich mały synek tonie w rzece na ich oczach? Kiedy zabiera go prąd rzeki? A rodzice biegną tacy wzdłuż brzegu i błagają Boga, w którego nigdy wcześniej nie wierzyli, aby uratował ich dziecko, a Bóg właśnie dlatego, że wcześniej

w niego nie wierzyli, bardzo cynicznie patrzy na tę sprawę i jakby mówi całą swoją rzeką – skoro nie wierzyliście we mnie, to teraz dopiżdźę waszemu synowi.

SANDY. „Bóg mówi całą swoją rzeką” – pięknie to powiedziane!

DOROTHY. Tak że teraz dopiżdźę waszemu synowi. Nadeszła rzeka!

SANDY. Aha – ha – ha!

Dorothy i Sandy się śmieją.

Pauza.

SANDY. Właśnie dlatego Bontch chodzi do parku do tego drzewa Sama, żeby wyblagać przebaczenie za przeklęty prąd tej rzeki.

DOROTHY. Ludzie to taka chujnia.

SANDY. No tak. Ludzie to jakaś taka infantylna modlitwa o sprawiedliwość – w mózgu syna Boncha, który, kurwa, ni z tego ni z owego nie chciał, nie chciał, a potem nagle, ni z tego ni z owego zechciał i poszedł popływać w rzece i jebut, i porwał go nurt rzeki na oczach jego ochujałych ze strachu rodziców, ponieważ wcześniej trzeba było się modlić do Boga, w którego nigdy nie wierzyli, a teraz już za późno, i ten Bóg stał się rzeką dla ich nieszczęsnego synusia i całego tego „dogmatu religijnego” w jego głowie. Których unosi rzeka.

DOROTHY. Aha, ha, ha. Dogmat religijny!! Jakie to okrutne! Jakie to okrutne, Sandy, w stosunku do Boncha i jego syna Dave ' a, który zginął wprost na oczach ojca.

SANDY. Bardzo okrutne, Dorothy.

DOROTHY. Tak, tak, tak. Zaczynam powoli rozumieć. Tak, tak, tak! To bardzo ważne, że to okrutne. Tylko kto może wytrzymać takie okrutne życie? Kto?! No kto może coś takiego wytrzymać, takie rozumienie wszystkiego, tego się przecież nie da wytrzymać. Kto to wytrzyma?! Kim są ci ludzie?! Kim oni są?

SANDY. Tak szczerze mówiąc, nikt tego nie wytrzyma. Bo wszyscy tak przywykli do ratowania się za tymi swoimi pieprzonymi „zasadami życia”, że spróbuj je tylko podać w wątpliwość, a od razu cię wykluczą zewsząd. Tylko spróbuj mieć wątpliwości, kurwa, co do tych zasad, a od razu cię wykluczą z twojej pracy, w twojej rodzinie i co szczególnie zabawne, że wykluczą ciebie samego z ciebie samego. Bo my wszystko tutaj na tej ziemi możemy wytrzymać, każdą wojnę i przemoc, tylko nie krytykę naszych nietykalnych „zasad życia”.

DOROTHY. A swoją drogą, co to za zasady, których się tak wszyscy trzymają?

SANDY. No jak to co za zasady? To zasady, które pozwalają społeczeństwu żyć obok siebie w taki sposób, żeby kiedy wymiotujesz na ulicy, to bryzgi twoich wymiocin w żadnym wypadku nie doleciały do sukienek i garniturów innych osób, a tym samym nie naruszyłyby ich osobistej i świętej przestrzeni, rzygając na nią! I właśnie dlatego jedna z tych głównych zasad brzmi mniej więcej tak: „jeśli szanujesz wolność i godność innych, staraj się trzymać z dala od nich”.

DOROTHY. A już tym bardziej rzeki.

SANDY. No a rzeka co ma, kurwa, do tego?

DOROTHY. Ma do tego, że od rzeki tym bardziej trzeba się trzymać z daleka, ponieważ nie tylko obrzyga cię swoją wodą, ale też zabierze cię w chuj swoim prądem do absolutnie nieoczekiwanego, indyferentnego oceanu.

SANDY. Rzeka narzyga swoją wodą! Oj! Nie rozśmieszaj mnie! Nieoczekiwany, indyferentny ocean! Ja jebię! Aha-ha-ha.

DOROTHY. Sama zaczęłaś! Aha-ha.

Śmieją się.

SANDY. Opowiedziałam tylko o Bonchu i jego sobotnich wyprawach do drzewa Sama.

DOROTHY. No ale to właśnie jest najśmieszniejsze – historia o Bonchu. I zaraz się normalnie posikam, jaka wyszła strasznie śmieszna historia.

Stają się bardzo poważne.

DOROTHY. Zwłaszcza teraz, kiedy Bonch ponownie się z kimś związał. A jego nowa partnerka ma jeszcze dwóch synów.

SANDY. I wszyscy na pewno nie utoną.

Napad śmiechu. Śmieją się.

SANDY. I rzeka nie zabierze wszystkich.

Śmieją się.

Nagle stają się poważne.

DOROTHY. W pustce całej tej bezsensowności nie ma sensu, prawda?

SANDY. Tak.

Pauza.

SANDY. A Sam, nawiasem mówiąc, kiedy sześćdziesiąt lat temu sadził to drzewo w wówczas nowo powstałym parku, to wpuszczając sadzonkę w ziemię, wygłosił następującą mowę: Niech ta ziemia da temu narodowi nadzieję na radość i wiarę we własne istnienie. Niech w tym wszystkim będzie przynajmniej jakikolwiek sens goryczy naszej powszechnej miłości. Dlatego, że my wszyscy tutaj jesteśmy tymi wszystkimi, może bardzo okropnymi, może bardzo okrutnymi wobec siebie nawzajem, ale wciąż młodymi sadzonkami, bez względu na to, ile tak naprawdę mamy lat. Wszyscy jesteśmy sadzonkami, które wyrastają z ziemi i z cienkich, nieśmiałych gałązek przekształcamy się w grube i potężne drzewa. Może najbardziej bezwzględny i oczywiście beznadziejnie głupi, ale mimo wszystko prawdziwy, - oczywiście nie cytuję dosłownie przemowy Sama, ale według jego pierdolniętego sensu i według jego schizofrenicznego stylu mniej więcej tak, - dlatego ja bardzo chcę, abyśmy wszyscy tutaj zrozumieli właśnie to słowo, które w XXI wieku powinno stać się najważniejsze – Teraźniejszość. I tą terażniejszością jesteśmy my wszyscy” – o tak powiedział wielki Samuel Longbit Grotenheim i prawie sześćdziesiąt pięć lat temu zasadził pierwsze drzewo w tym ogrodzie. A teraz jest to wspaniały Grotenheim Park, do którego chodzą wysrać się w nocy wszystkie freaki, bo dokąd jeszcze pójda, to przecież jedyny otwarty przez całą dobę park, gdzie można w krzakach za ławkami zgwałcić jakąś laskę, która pokłóciła się z rodzicami i postanowiła uciec do parku, żeby rozpocząć nowe życie. A oto i nowe życie! W krzakach za ławką w Grotenheim Park. Bóg karze nas wszystkich swoją rzeką, która porywa nas w nieskończoność niemożności powrotu. Nieskończoność niemożności powrotu. Czy wszyscy rozumiemy, co to znaczy – nieskończoność niemożności powrotu?

Pauza.

I nagle gwałtownie zaczynają się śmiać.

Przestają się śmiać.

SANDY. A teraz w każdą sobotę Bonch chodzi i błaga o przebaczenie przy drzewie Sama za to, że rok temu jego synek Dave utonął w rzece dwieście kilometrów od Grotenheim Parku. No czy to nie dziwne?

DOROTHY. I ty myślisz, że drzewo mu wybaczy?

SANDY. Hmm? Cóż, na pewno wybaczy, a jak inaczej? Drzewo wybaczy każdemu, jeśli będzie o tak chodził i błagał o przebaczenie. Jeśli ktoś będzie jęczał klęcząc przed tym drzewem – drzewo, no proszę, drzewo, no wybacz nam. Nam! Wybacz nam! Za nasze nazwiska! Za wszystkie nasze beznadziejne nazwiska i rasy, za kolory naszej skóry, za przekonania polityczne, wybacz nam, Boże Rzeko! I dlatego składamy ci w ofierze syna naszego Boncha, żeby porwała go rzeka. Wybacz nam Boże-rzeko za to, że jesteśmy głupi, bezsensowni, nieświadomi, zależni, opętani, fałszywi, że my, kurwa, do chuja pana, zasłaniamy się całą tą miłością do sprawiedliwości i wolności, a sami jesteśmy niesprawiedliwi i niewolni w środku, wybacz nam Rzeko – Boże, oto nasza święta ofiara – synek Boncha. Tak więc weź go rzeko a nam daj cierpienie po naszym niedoskonałym życiu, daj nam pamięć tego, kim my tak naprawdę jesteśmy – pamięcią miłości o nas wszystkich! Zabierz nasz ból swoją rzeką Boże. I tutaj, kurwa, zapada niewyobrażalna cisza. Ponieważ nie ma odpowiedzi na tę modlitwę i być nie może.

Pauza.

DOROTHY. Ale Bonch ten to jednak pojeb, zgodzisz się?

SANDY. W każdą sobotę chodzi do drzewa Sama, żeby błagać o przebaczenie za swojego syna.

DOROTHY. Którego rok temu porwała rzeka dwieście kilometrów od Grotenheim Park.

SANDY. To w stylu, jakby rowerzysta w sportowej różowej koszulce jechał drogą 66, gdzieś w kierunku Miasta Aniołów po sławę i chajs, nie zdając sobie sprawy, że tam w rzeczywistości czeka go zajebista ściema życia, on jedzie po wolność i szacunek, a dostanie – jeśli mnie lubisz i cenisz, to trzymaj się no ode mnie z daleka.

DOROTHY. Absolutnie! Zwłaszcza, że niewielu jest w sumie ludzi na świecie, którzy naprawdę mają coś do powiedzenia innym.

SANDY. No z tych, którzy ciągle mówią, to w ogóle prawie nikt!

DOROTHY. Nie, no bo serio?! No kto na tej planecie ma coś komuś do powiedzenia? Kto?! Kto oprócz tego modnego indyjskiego guru, jak go tam?... Dobra, nieważne. Który, mówiąc wprost, tylko robi chajs na tych wszystkich naiwnych Amerykanach, którzy próbują zaraz po

koksie przejść na jogę o nazwie „dobrowolnie udostępniam swój mózg do tego, żeby go wyruchał ogromny chuj Shivy, po to, żebyśmy po tym, jak nam wyruchali nasze mózgi, odnaleźli siebie”. W sensie, ktoś tu może na tym świecie, po tym, jak mu wyruchali mózg, odnaleźć siebie? No czy to nie jest popierdolone?

Sandy i Dorothy zaśmiewają się.

Pauza.

SANDY. Ale Bonch i tak jest bardzo miły. Chodzi do drzewa w każdą sobotę już cały rok! No wiesz, cała ta chujoza z samoprzebaczeniem? Przebac najpierw sobie, aby przebaczać innym...

DOROTHY. Absolutny kał!

SANDY. W stylu, jeśli ty wybaczysz sobie, to i innym wybaczysz, a ściema tam w tym, że Bonch może nawet jest w stanie wybaczyć sobie, w stylu, no wiesz, to moja wina, że zabrałem synka nad rzekę i zostawiłem go bez opieki, ponieważ w tym czasie sprawdzałem na pierdolonym fejsie, jaką tam Linda miała jazdę z koronowirusem, bo od czasu, jak go złapała to bez opamiętania wrzuca selfie w łóżku już cały tydzień, więc Bonch pisze do niej na priva, coś w stylu albo zdychaj, albo przykręć swoją fontannę narcyzmu, jebana biała suko. A tu nagle krzyk – tato, tatusiu i jebut – nurt rzeki. I Rzeka. Bezimienna, beczasowa rzeka. Żywa tragedia. Rzeka. Porywa mnie.

SANDY. I nurt tej rzeki unosi nas bardzo daleko. Czy wybaczysz sobie? Ty? Ty, czy ty sobie wybaczysz?! I to jest pytanie, które w żaden sposób nie potrzebuje twojej odpowiedzi, bo pytanie nie jest do ciebie.

DOROTHY. Czy ty wybaczysz sobie? – to w ogóle żadne pytanie.

SANDY. Właśnie! Bo rzece Bonch nie wybaczył i nigdy nie będzie w stanie wybaczyć.

DOROTHY. Rzeka to absolutnie pełnowymiarowy kał.

SANDY. On nie wybaczył rzece, no sama wiesz.

DOROTHY. No oczywiście, wiem. Nie wybaczył ani rzece, ani Bogu, który stworzył tę rzekę po to, żeby płynęła i odbierała ludziom różne te ich głupie nadzieje, zabierała im tę przeklętą religię, to światowe pierdolenie o miłości Boga, którego nie ma, ale który ich kocha, Bóg, którego nie ma, kocha ich, ha, ha, ha.

SANDY. Absurd! Grupa zjebanych typów wierzy w superzajebistego typa i modli się do niego, żeby on ich nauczył wybaczać. Czy ty umiesz wybaczać, to w ogóle żadne pytanie.

DOROTHY. Absurd! Modlą się do typha, który niby stworzył tę rzekę, aby ona odbierała nam nasze dzieci, które sami zabijamy na tej przeklętej wojnie o miłość naszego Boga, odbierała nam wiarę w sprawiedliwość i wiarę w to, że mamy jakiś tam, w pizdu, plan wyjścia z tego całego gówna, chociaż tak naprawdę nie mamy żadnego planu. Dlatego właśnie nie mamy wyjścia. I chwała Bogu, że rzeka wymywa ludziom z głowy te wszystkie bzdury, że niby my tu wkrótce coś wymyślimy, jak poradzić sobie z tymi Chinami, Iranem i Rosjanami. To wszystko absolutny blef. Ponieważ nie ma takiego planu. I dlatego nie da się poradzić sobie ze złem. Bo żadnego planu radzenia sobie ze złem, poza tą całą chujozą od wszystkich tam szczwanych Yoga teacherów w stylu poznaj siebie, a wtedy zmienisz świat, po prostu nie ma.

Sandy znów dostaje ataku śmiechu.

SANDY (*poprzez śmiech*). Ale kał, o ja cię!

DOROTHY. No i rzeka uniosła całe to gówno z mózgu Boncha, razem z jego synkiem. I tyle! Całe, całe to błogosławione gówno. Litość, nadzieja i wiara to wszystko takie gówno! Aha-ha-ha.

Dorothy się śmieje.

Sandy jest bardzo poważna.

SANDY. Ale Bonch dalej chodzi i modli się przy drzewie Sama. Prosi o przebaczenie. Tylko kogo on prosi? Kto mu wybaczy? Czy jest tu chociaż ktokolwiek, kto mógłby nam wybaczać? Co to za posrany pomysł, że jest tu niby ktoś, kto może nam wybaczać!! Czy w tym wszechświecie jest chociaż ktokolwiek, kto mógłby nam wybaczyć? Wybaczyć nam to, jak postąpiliśmy z tą planetą? Przebaczyć nam to, jak postąpiliśmy z innymi ludźmi, jak gwałciliśmy się nawzajem za religię, za kolor skóry, za rasę i za wszelką chujnię w stylu „mówię w innym języku”, przebaczyć całą tę potworną rzeź, którą zorganizowaliśmy wokół tej syfiastej ropy, tych kurwa klaunów arabskich szejków w białych chałatach, takich, kurwa, ważnych i pompatycznych, jakby każdy miał wielbłądziego fiuta w dupie, ich stosunek do kobiet, kto nam wybaczy? Tych wypęłzających ze swojego parszywego faszystowskiego piekła Rosjan, którzy na oczach całego świata upadli jeszcze niżej, niż dno najbardziej chujowego dna. Kto wybaczy nam tych Rosjan, to, że oni w ogóle, kurwa, są?! Kto wybaczy nam Chiny, które gwałcą Tybetańczyków i Ujgurów, a te jebane amerykańskie firmy IT zlecają im produkcję swoich jebanych iphonów bylebyśmy mogli tu wszyscy w pizdu się

zdzwonić, a Ujgurzy a chuj z nimi i tak nie mają do kogo dzwonić, i tu najważniejsze jest to, żebyśmy my ludzie Zachodu mogli się dzwonić, ale o czym w tym wypadku mamy rozmawiać ze sobą, to nawet sami nie wiemy, chuj go wie, o czym mamy tu na tej planecie pogadać ze sobą, może o tym czy rozwijamy się, czy staramy się być choć trochę doroślejsi, czy już ni chuja?? Dobra, nie ważne o czym mamy gadać, najważniejsze, żeby się dzwonić... Aha-ha ha ...

Sandy się śmieje.

Dorothy jest bardzo poważna.

Pauza

DOROTHY. No a nie zauważyłaś, że ten świat wokół nas, to on zawsze drży jak galaretką?

SANDY. Dokładnie! Świat zawsze lekko drży, jak cholerna galaretką na talerzu. No wiesz, taka różowa galaretką i ona tak się lekko trzęsie, kiedy ją niesiesz do stołu?

DOROTHY. No ja miałabym nie wiedzieć?! Ja miałabym nie wiedzieć o galaretkę?! Galaretką to mój dom rodzinny. To miejsce, w którym się urodziłam. W galaretkę. W trzęsącej się galaretkę. W samym środku tej trzęsącej się galaretki. I ja wyraźnie pamiętam swoją pierwszą myśl, którą wyraźnie pamiętam. No, powaga! Czy ktoś w ogóle pamięta swoją pierwszą myśl? Kto pamięta, jaka była jego pierwsza myśl? A ja proszę, akurat pamiętam to bardzo dobrze. Tym bardziej, że moja pierwsza myśl była taka: „Jeśli złapię ręką krawędź tego talerza z jebaną szarą kaszką, postawioną przez mamę w pewnej odległości ode mnie, to dam radę przysunąć ją bliżej do siebie, a wtedy dystans między moim pragnieniem a celem będzie mniejszy i życie stanie się łatwiejsze”. Ale wtedy jeszcze nie rozumiałam, że to może stać się tendencją. A teraz całe moje jebane życie będę tylko tym właśnie jednym się zajmować, próbować przesunąć talerz z kaszką bliżej siebie. Nie zadając sobie podstawowego pytania – czy ta kaszka to jest w ogóle warta tego, żeby ją tak przysuwać do siebie, a może ta kaszka jest po prostu najbardziej na świecie jawnym kłamstwem? No to po co tak chcieć tego cholernego kłamstwa? Czy chcemy chcieć kłamstwa? Może musimy zadać sobie właśnie takie pytanie – czy chcemy chcieć kłamstwa?! Nie „być albo nie być” jak ten pojeb Hamlet zajechał całe pokolenia swoim tępym pytaniem, ale – czy chcemy chcieć swojego kłamstwa?! Czy chcemy chcieć swojego kłamstwa – oto jest pytanie.

SANDY. Bo niby śmierć będzie wtedy łatwiejsza dla nas wszystkich i naszych dzieci.

DOROTHY. No tak jakby.

SANDY. My wszyscy jakby wierzymy w to, że śmierć stanie się niby łatwiejsza. No z jakiego chuja? Zwłaszcza, że niektóre zjeby w ogóle twierdzą, że nie ma śmierci, w ogóle w pizdu, nie ma żadnej.

DOROTHY. Zwłaszcza, że kiedy zawaliły się te wieże, nie, w Nowym Jorku, to nikomu jakoś nie było łatwiej. A było odwrotnie, wszystkim było trudno jak chuj. A to przecież po prostu tylko pierdolona śmierć. Po prostu byłeś i nie ma ciebie. No i co?! No i chwała Allahowi, że nas wszystkich już nie ma. I tylko ci szczęściarze muzułmanie myślą, że oni są, ale w rzeczywistości nawet ich nie ma.

Sandy u-śmie-cha się.

SANDY. I dlatego, jak to się mówi – nigdy nie myśl, że jesteś lepszy niż całe to szczwane, ze wszech miar próbujące cię zrobić w chuja życie. Bo my razem z jebniętym Bonchem i jego utopionym synem jesteśmy tym życiem. My właśnie jesteśmy tą paskudną, obrzydliwą, brudną rzezią ludzkości między sobą o kawałek boskiego tortu. A komu to, ciekawe, koniec końców trafi się ten tort? Czyżby tym gnojom, którzy planują spierdolić stąd gdzieś na Mars.

DOROTHY. Tak właśnie jest. Wszyscy rozpętaliśmy tę brudną rzeź dla Boskiego tortu. Dzień po dniu, tysiąclecie po tysiącleciu, tworząc ten absolutnie pojebany świat, w którym ludzie mają tylko jeden cel – rozjechać tutaj wszystko do ostatniej bakterii, rozwalić wszystko na drobne kawałki i zetrzeć wszystko, co można zetrzeć w chuj z oblicza tej nieszczęsnej ziemi. I to był nasz cel. Do którego tak pewnie szliśmy i wreszcie doszliśmy. Dlatego cała nasza ludzka kultura, wprowadziła nas do swojego całkowicie fałszywego systemu wszystkich tych wymyślonych ludzkich, wykurwiście takich humanistycznych ważnych wartości, które w jednej chwili zostały pochowane pod gruzami zbombardowanych domów, ponieważ ta kultura zanurzyła nas, kurwa, w całkowicie wymyślonym, sztucznym świecie idei, myśli, projekcji i marzeń, żeby w końcu przekształcić człowieka w to, czym jest teraz właśnie – maszyną do produkcji plastikowych okien do domu. I to jest, kurwa, tak niewiarygodnie tragiczne i tak jednocześnie komiczne, że nawet nie wiesz, czy od tej myśli spuścić się, czy zrzygać. No ja to oczywiście wybieram.... Dobra, to moja sprawa, co wybieram, tym bardziej, że ja tu ni chuja nie wybieram. No ale nasz Bonch jest biedny. On to już chyba całkiem ochujał przez tę swoją tragedię, już rok mija, jak syna porwała przeklęta rzeka, a drzewo Sama, pod którym się modli, dalej milczy i milczy.

SANDY. Drzewo milczy?!

DOROTHY. Wyobrażasz sobie?

Znowu mają napad śmiechu.

Mówią śmiejąc się.

DOROTHY. Drzewo milczy!

SANDY. Milczące drzewo!

DOROTHY. Nie no, w ogóle, ja jebię.

SANDY. Że niby jest gadające drzewo.... !!!

DOROTHY. Aj! Jaj! Gadające drzewo!!

SANDY. No w ogóle, ja jebię! Wyobrażasz sobie! Gadające drzewo!

DOROTHY. No i drzewo takie mówi do nas. W sensie, cześć, jestem drzewo.

SANDY. Oj! Zaraz umrę ze śmiechu. W sensie, ja jebie! Jestem drzewo i rozmawiam z wami...

DOROTHY. Proście mnie o przebaczenie, a ja wam tu kurwa zaraz wybaczę... na kolana pizgać przede mną!

SANDY. Módl się i proś o przebaczenie za wszystko, co zrobiłeś. I ssij temu drzewu jego drewnianego kutasa.

Dorothy i Sandy się śmieją.

Wchodzi Bonch.

SANDY. Bonch?

BONCH. Cześć, Sandy.

SANDY. Cześć, Bonch.

DOROTHY. O, Bonch, cześć. Jak się masz, Bonch?

BONCH. Hej, Dorothy, jak się masz? Jak się czujecie? Mam nadzieję, że wszystko w porządku, co?

DOROTHY. No wiesz. Raczej jakby czujemy się normalnie, Bonch, oprócz tylko tego, że mamy jakieś dziwne poczucie niezadowolenia z tego całego społecznego zbiorowego, grupowego, takiego, wiesz, Bonch, no jak by to powiedzieć, no, takiego jakby – wszyscy jesteśmy tutaj razem, żyjemy na tej planecie, jesteśmy tutaj, kurwa, jedną całością, oczywiście, no i w sensie, jak ktoś jeszcze tego nie załapał, ten jeszcze nie osiągnął w sensie nowego etapu ewolucji, a tu jeszcze Era, wreszcie, długo wyczekiwanego Wodnika, nie

jestem pewna, Bonch, czy rozumiesz, co mam na myśli? No i krótko mówiąc, my tu, Bonch, z jednej strony jakby mamy się dobrze, a z drugiej strony, my tu jakby nieco wątpimy w całą tę konstrukcję, czy ona wytrzyma? Czy ona nas wytrzyma? Chociaż komuś oczywiście cała ta chujoza z erą Wodnika, no jakby wydaje się no czymś takim w rodzaju jak, wiesz, no, jeśli komuś syn utonął w rzece, a on potem zmusił się do myślenia, że każda rzeka prędzej czy później wpada do oceanu, no i że kropla staje się oceanem i wszystko wraca tam, skąd pochodzi i cała ta infantylna chujoza, a poza tym osobiście mam się świetnie, Bonch, a co do Sandy, myślę, że sama teraz powie za siebie. Zgadza się, Sandy?

SANDY. Zgadza się, Dorothy. Tym bardziej, że już o wszystkim powiedziałaś najlepiej, jak się da, więc w zasadzie nie mam nic do dodania. Cześć, Bonch, miło cię widzieć. Pewnie jak zawsze byłeś dzisiaj w parku? Dzisiaj jest sobota, więc jak inaczej. Rzeka, jak to się mówi, nie pali się w ogniu nawet w niedzielę. A już w sobotę tym bardziej żadna rzeka nie pali się w żadnym ogniu, więc u nas niby okej, Bonch, a jak ty się masz?

Pauza.

BONCH. W sobotę jak zwykle opłakuję moje dni, Sandy, ale dzisiaj wszystko jest trochę inaczej niż w pozostałe soboty, ponieważ dzisiaj...

DOROTHY. Co masz na myśli, Bonch, co to znowu za opłakiwanie swoich dni? Jak człowiek może opłakiwać swoje dni? Prawdopodobnie chciałeś powiedzieć, że opłakujesz tragedię, która wydarzyła się w jednym z minionych dni, ale dni same w sobie nic nie znaczą, dni to tylko dni, nie potrzebują łez, po prostu mijają nie pozostawiając nic poza pamięcią o tych wszystkich pojebanych dniach.

BONCH. No, wiesz, czasami człowiek może płakać choćby dlatego, że on po prostu w ogóle żyje. Nie chcę tu wprowadzać nuty sentymentalizmu, ale...

SANDY. Sorry, no ale właśnie teraz akurat wprowadziłeś tę nutę sentymentalizmu, Bonch.

DOROTHY. No, oczywiście, to bardzo sentymentalne, kiedy rok temu, wiesz, utonął ci syn w rzece i teraz będziesz chodził między ludźmi z twarzą norweskiego łososia na grillu, sugerując nam wszystkim, że jesteś jakby, taki jakby nie rozpoznany Mandalorianin w hełmie. A zresztą, gdzie twój skrywający uczucia hełm, Bonch?

BONCH. A po co ukrywać swoje uczucia, Dorothy?

SANDY. Gdzie twój hełm, Bonch?

BONCH. Jaki hełm, o czym wy mówicie?

DOROTHY. A jak zamierzasz ukrywać swoje uczucia, Bonch?

BONCH. Nie zamierzam ich ukrywać.

SANDY. Przestań, Bonch. Wszyscy normalni ludzie ukrywają swoje uczucia, nie tylko ty.

BONCH. Ale dlaczego miałbym je ukrywać?

Sandy i Dorothy spoglądają po sobie ze zdziwieniem.

SANDY. No, choćby dlatego, że prędzej czy później i tak dowiadujemy się o sobie, że jesteśmy tylko rozmową o tym wszystkim i niczym więcej poza słowami. Zapewne, Bonch, jest ci przykro słyszeć, że ty jesteś zaledwie rozmową o rzece i o synu, którego porwał nurt. No, oczywiście, komu spodoba się wiedza, że cała jego wiara, cała jego nadzieja, wszystkie jego pomysły i marzenia, wszystkie jego łzy przelane z powodu jakichś tam dawno nieistniejących dni, wszystko to to najzwyczajniej w świecie zwykle rozmowy w towarzystwie takich, jak my osób, które utraciły wszelką nadzieję i wiarę w potęgę ludzkości.

DOROTHY. Utracona wiara w potęgę ludzkości! Dobrze powiedziane.

SANDY. W każdym razie, słusznie. Przepraszam, jeśli coś jest nie tak, Bonch. Wiara w potęgę ludzkości jest utracona, sam rozumiesz, tak więc o czym tu mówić?!

Pauza.

BONCH. Potęga, o co wam, tak naprawdę, chodzi? Czy któraś z was zna to poczucie własnej potęgi? O jakiej potędze może być mowa, kiedy nie ma nikogo, kto byłby gotów odnaleźć w sobie tę właśnie potęgę. Ja tylko o tym, Sandy.

DOROTHY. Ty tylko o tym, Bonch?

BONCH. Tak, teraz ja właśnie tylko o tym, Dorothy.

DOROTHY. Ale o czym ty mówisz, Bonch, wybaczone, bo jakoś w końcu nie zrozumiałam.

BONCH. No, jak to o czym? O potędze, która przychodzi tylko do tego, kto jest naprawdę potężny.

SANDY. A co sądzisz o seksie, Bonch? Masz go w ogóle czy tak sobie? Ani tak, ani siak, czy masz, czy to twoja partnerka decyduje, kiedy dostaniesz szansę być dzikim psem?

Pauza.

SANDY. Kto więc decyduje, kiedy możesz być dzikim psem, Bonch?

BONCH. Co, co?

DOROTHY. Dzikim psem! Sandy... ojej (*Dorothy dostaje napadu śmiechu*). Dzikim psem, aj, aj!!! Co ty ze mną wyczyniasz, Sandy, zaraz umrę. Oj, jej, jej!!!

SANDY. Nie zwracaj uwagi, Bonch. To nie ma żadnego znaczenia, Bonch. Żadnego, absolutnie żadnego znaczenia.

BONCH. Dobra. To wszystko naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Po prostu przyszedłem się pożegnać, bo wyjeżdżam. I wątpię, że się szybko zobaczymy. A może w ogóle nigdy. Tak przecież też czasami się zdarza, ludzie poniżają i obrażają się wzajemnie, a potem nagle bach i więcej się nie spotykają.

Dorothy przestaje się śmiać. Sandy i Dorothy bacznie patrzą na Boncha.

DOROTHY. Wydaje mi się, że dość często tak się właśnie dzieje, mój drogi.

SANDY. Mnie osobiście spotkało to kilka razy.

DOROTHY. Miałam tak kilka razy i potem już naprawdę nigdy się nie spotkaliśmy, tylko raz zupełnie przypadkowo, no i to dopiero było spotkanie... no tak, jakby dwóch umarłych powstało z grobów i zaczęło się okładać kośćmi bez mięsa i ścięgien. Czekał no, czekał, czy ja dobrze usłyszałam – powiedziałaś, że wyjeżdżasz, Bonch?!

BONCH. Tak.

SANDY. Co, co, co, co? Oczywiście, że nie.

BONCH. Tak, wyjeżdżam. I przyszedłem się pożegnać. Bo...

DOROTHY. Wyjeżdżasz, Bonch?!

BONCH. Tak.

DOROTHY. Dokąd?!

BONCH. Do Francji. I zdaje się, że na długo...

SANDY. Przeprowadzasz się do Francji?!

BONCH. Tak. Do Tuluzi. Słyszałyście o takim mieście?

SANDY. No oczywiście, słyszałyśmy, Bonch. Tuluzi! No oczywiście, słyszałyśmy o Tuluzi. Słyszałaś coś o Tuluzi, Dorothy?

DOROTHY. Tuluzi? No oczywiście, słyszałam. I w sumie zawsze coś niezbyt dobrego, ale co, już nie pamiętam. Tuluzi!

SANDY. A po co ty tam jedziesz, Bonch?

BONCH. Ano.... to wszystko nie tak łatwo wyjaśnić. Staram się płynąć z nurtem mojego życia. Tak więc, od dawna już nie wierzę w to, że unoszony przez prąd rzeki przedmiot może choć jakkolwiek wpłynąć na tę rzekę.

DOROTHY. Wow! No proszę!

SANDY. A co z twoją nową kobietą i jej dwoma chłopaczkami?

BONCH. Jedziemy razem.

SANDY. Do Francji?

BONCH. Tak.

SANDY. Z nową partnerką i jej dziećmiakami przeprowadzacie się do Francji?

BONCH. Tak.

SANDY. I to nie są jakieś dalekie plany, nie marzenia na przyszłość, nie cała ta sraczka, z którą nakurwiałeś do tej pory? Wyjeżdżacie do Francji, Bonch?

BONCH. Tak. Wyjeżdżamy jutro. Dlatego dzisiaj chodzę po wszystkich moich starych znajomych, żeby się pożegnać. Właśnie byłem u Martina i Christiny. Teraz zajrzałem na chwilę do ciebie Sandy. I bardzo się cieszę, że zastałem tu Dorothy, bo naturalnie miałem pójść też do ciebie, Dorothy, więc...

Długa pauza.

DOROTHY. Zdaje się, że czegoś tu nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że postanowiłeś odnowić swoje życie? Zacząć wszystko od nowa? W innym kraju, z inną kobietą, z innymi dziećmi, rozpocząć nowe, zupełnie inne życie?

BONCH. No, coś w tym stylu.

SANDY. I naprawdę wierzysz, że to możliwe, Bonch?

BONCH. Możliwe co?

SANDY. Stać się kimś zupełnie innym. No jak to możliwe, Bonch? Stać się innym? Jak to możliwe? Całe twoje życie, wszystkie twoje nawyki i kompleksy, wszystkie twoje zainteresowania i twoje poglądy, tego wszystkiego nie można wziąć ot tak i jednym rejsiem samolotem z jednego kontynentu na drugi – wziąć i zmienić jedno życie na drugie. To jest po prostu niemożliwe, Bonch.

BONCH. Nie wyjeżdżam, aby zacząć życie od nowa. Żadna żywa istota w tym wszechświecie nie może zacząć żyć od nowa, ponieważ życie nie jest jakimś tam miejscem pracy ani obywatelstwem, które można zmienić. Możemy być albo żywi, albo martwi, jakie jeszcze mogą być opcje? Albo żyjesz, albo nie istniejesz. Co możemy tu zmienić? Istnienie? Śmieszne. Tak że wyjeżdżam po prostu i tyle.

DOROTHY. Ale z ciebie lisek, Bonch! Chytrusek, rudziutki, jebaniutki lisek o nazwisku *Wywróć tu wszystko do góry nogami, tak żeby nikt się w niczym nie zorientował.* Ale nie

wzięłaś pod uwagę jednego, Bonch. Tego, że tak naprawdę, wszystkie powody, dla których zdecydowałaś się stąd nawiać, masz czarno na białym wypisane na twarzy i całym swoim ciele. Całe to twoje uzalanie się nad sobą, twoja niepewność w relacjach z kobietami, twój lęk przed przyszłością, twoja niemoc wobec brania odpowiedzialności za niepowodzenia i twoje podwójne kłamstwo, po pierwsze samemu sobie, a po drugie wszystkim tym, których próbujesz przekonać, że taki nieszczęśliwy, wędrujący, cierpiący duch, jak ty, zasługuje na litość, podczas gdy ty nie zasługujesz na żadną litość, Bonch, ponieważ nie ma cię za co żałować – ty zabierałaś syna nad rzekę, ty w każdą sobotę chodzisz do tego głupiego drzewa i... Dobra. Przepraszam, że to wszystko mówię, Bonch. I tak wyjeżdżasz, a my i tak zostajemy. Jesteś pociągiem, a my dworcem, nasza zasada przemykać obok siebie z ogromną prędkością. No to au revoir, Monsieur Bonch!

Pauza.

SANDY. Nie no, tak naprawdę to jest nam bardzo przykro, że wyjeżdżasz, Bonch.

BONCH. Nie jestem pewien, czy naprawdę bardzo wam przykro, że wyjeżdżam, ale nie o to chodzi...

SANDY. Nie, akurat właśnie o to chodzi, Bonch. Mnie na przykład naprawdę jest bardzo przykro. I wiesz dlaczego? Bo chociaż nigdy w sumie nie byliśmy przyjaciółmi i nie dzieliliśmy się ze sobą całym tym niezadowoleniem i irytacją na życie, jak to zwykle bywa między przyjaciółmi. W ogóle nie rozmawialiśmy tak często, ale tym nie mniej. Wiesz, Bonch, może zaskoczę cię tym wyznaniem, no ale tak naprawdę, przez cały ten ostatni rok nie było dnia, żebyśmy razem z Dorothy nie dyskutowały o twoim życiu. Ani jednego dnia! Myślę, że nawet uczyniłyśmy twoje życie językiem naszej komunikacji. Prawda, Dorothy? Bo na przykładzie twojego życia było nam bardzo wygodnie wyjaśniać sobie wszystkie nasze myśli, uczucia i idee, z których składa się całe to nasze tonące w rzece życie.

DOROTHY. Nie no, ja bym tak nie przesadzała, Sandy....

SANDY. A ja bym to zrobiła. Ja bym właśnie tak przesadziła, no a czemu nie? Osobiście nie widzę w przesadzie nic złego. Trzeba przesadzać i to maksymalnie mocno. Bo jeśli nie przesadzasz, to wtedy w ogóle znajdujesz się praktycznie nigdzie. Wtedy siedzisz sobie, taka skromna w nieczułym towarzystwie i na pytanie czym się zajmujesz odpowiadasz – no cóż, teraz jakby szukałabym siebie w kilku kierunkach, to i nauczanie angielskiego, i praca z dziećmi, i pomoc uchodźcom – no i jedziesz, w sensie, z całym ten *bullshitem*, zamiast tego, żeby nagle wziąć i powiedzieć, że - no wiecie, tak w ogóle to modeluję sztuczne świnie. No wiecie, takie

duże, utuczone sztuczne świnię, żeby one potem, no tego, jakoś tam sobie chodziły i chrumkały, a potem by je zarzynano w ubojni, razem z innymi świniami, tylko różnica między moimi sztucznie stworzonymi świniami a prawdziwymi żywymi świniami polega na tym, że moje sztucznie stworzone świnię, kiedy je zabijamy radują się i śpiewają, a nawet emanuje z nich taki zapach, że kiedy go powąchasz, to... - okej, to tylko lot fantazji, to coś, co daje mi pewność siebie, to coś, co sprawia, że jestem wyjątkowa, to coś, co pozwala mi poczuć, że jestem pożądana na tym świecie, bo teraz coś sobą reprezentuję, wymyśliłam sztuczne świnię, co oznacza, że mogę myśleć ciekawie, można mnie wziąć pod uwagę, można zaprosić do konferencję zoomową pod nazwą „Kochaj to, co robisz”, żeby pogadać ze mną o tym, jaki niewiarygodny orgazm mam, kiedy słyszę, jak moje sztuczne świnię wychrumkują melodię z piosenki Eda Sheerana. A ja naprawdę mam co opowiedzieć. I teraz jestem w jednym szeregu z tymi kolesiami, którzy proponują lot na Marsa. I teraz też biorę udział w tych wszystkich bezsensownych dyskusjach i pieprzonych warsztatach. W kanałach youtube i audio podcastach otwarcie dzielę się ze światem swoim cennym doświadczeniem na temat transformacji i nowych sensów. Sztuczne świnię to nowy sens. Chociaż tak naprawdę mało kto zdaje sobie sprawę, że cały ten absolutnie pojebany międzynarodowy program kulturalny, którego częścią wszyscy jesteśmy, tak jak raz się pojawił tak samo kiedyś zniknie, rozlatując się na kawałki od zrzuconej przez jakiegoś pomarszczonego paranoidalnego pojeba-karła, bomby atomowej. Zaropiały pojeb zrzuci nam na głowy kilka swoich bomb atomowych i zamknie cały ten nieudany projekt kulturowy. I wtedy z całej tej pojebanej światowej kultury w jednej chwili nie zostanie żadnych pomników literatury, ani przedmiotów z głębokiego antyku, ani dzieł dających estetyczną przyjemność, ani folii, ani masek, ani farb, ani książek, ani płócien, nic. Nic nie zostanie, ani z połączeń elekronowo-neuronowych, ani z lewej ani z prawej półkuli, ani z układu oddechowego, ani chociażby najmniejszej zdolności człowieka do rozumienia – z jakiej przyczyny my co rano powinniśmy się budzić i otwierać oczy?

Długa pauza.

DOROTHY. A ja, jeśli pozwolisz, chciałabym dodać kilka słów od siebie. Bo widzisz, Bonch. Nie wiem, na ile jesteś zorientowany, co dzieje się teraz w Arabii Saudyjskiej. Oczywiście, wątpię, że śledzisz co się dzieje w tym kraju. Teraz uwaga całego świata skoncentrowana jest na przygotowaniach do tej popierdolonej podróży na Marsa. Chociaż ty, zapewne i tych wydarzeń szczególnie nie śledzisz, przecież jesteś skupiony na swojej jebanej

modlitwie do tępego drzewa w parku. Tak że ty nawet nie wiesz, co się dzieje na sąsiedniej ulicy, ale nieważne, dla takich frajerów to normalne, że ni chuja o niczym nie wiedzą... Tak czy inaczej, Arabia Saudyjska obecnie przystępuje do budowy zupełnie wyjątkowego miasta. Miasta przyszłości. Pod nazwą Neom. Całkowicie ekologiczne, bez dróg i ulic. Według najwyższych standardów współczesnej urbanistyki, ze sztucznymi chmurami i sztucznym księżycem nad miastem. I co najważniejsze, w tym mieście po raz pierwszy w historii muzułmańskiego państwa „Arabia Saudyjska” będzie sprzedawany alkohol. Krótko mówiąc, będzie to najbardziej zajebiste miasto na świecie, Bonch. Wyobrażasz sobie?! Wysokie drapacze chmur, sztucznie posadzone drzewa, latające jakieś urządzenia obsługujące klientów. Sztuczny księżyc, Bonch! Co prawda, sztucznych świń pewnie na razie nie będzie, no bo najpierw zalegalizujemy jakoś w oczach Allaha alkohol, a potem może i sztuczne świnię zaczniemy wdrażać. Rozumiesz, Bonch?! I cały ten *trash*, cały ten Mars, całe to niesamowicie głupie podejście do życia... Wszystko to... No bo jak ci to wszystko pomoże, Bonch?! Jak nam to wszystko pomoże?! Jak ta cała jebana ekspedycja na ten cholerny Mars pomoże dzieciom umierającym z pragnienia, głodu, przemocy, chorób i wojen? Jak ona pomoże wszystkim tym mieszkańcom Afryki, u których za dwa lata średnia temperatura powietrza nigdy już, kurwa, nie będzie schodzić poniżej 60 stopni, zjebanego skwaru. Jak im pomoże nasz lot na Marsa, na tego cholernego Marsa? My tu tego, lecimy na Marsa, do widzenia, a wy możecie zająć nasze domy w Kalifornii i wszystko, co tam zostało w lodówce jest wasze, częstujcie się na zdrowie. Rozumiesz, Bonch? Nie da się zmienić swojego życia, przenosząc się z punktu a do punktu b. No więc, po prostu to chciałam ci powiedzieć na pożegnanie. Wybacz, jeśli wyszło za bardzo, no to... oj, no dobra, tego. Jedziesz to jedź, wypierdalaj stąd prędziutko, szczęśliwej drogi, Bonch. Żegnaj.

Długa pauza.

BONCH. Muszę już iść, dzień jest krótki, a ludzi, z którymi chcę się pożegnać, zostało jeszcze całkiem sporo. Dlatego pozwólcie, że i ja powiem wam coś na pożegnanie. Właściwie to po to do was przyszedłem, no, żeby nie po prostu powiedzieć – żegnajcie – ale jeszcze i po to, żeby powiedzieć wam kilka słów o sensie, o istocie, kontekście i sposobie pojmowania tak ekscytującej wszystkich rzeczy jaką jest życie.

DOROTHY. Pojmowanie ekscytującej wszystkich rzeczy pod nazwą życie? No, grubo, Bonch.

SANDY. Ty serio nie mówisz, tylko pierdzisz w przestrzeni. Ekscytująca wszystkich rzecz o nazwie życie. No grubo, Bonch!

Pauza.

BONCH. Dlatego że mój osobisty stosunek do tego, czym jest człowiek dość trudno sformułować. Kiedyś myślałem, że człowiek jest kimś, kto nieustannie chce być lepszy i lepszy, kto żyje tym, że próbuje udoskonalać i ulepszać swoje i otaczające życie. Na przykład moja matka dużo piła, ale stale uczyła nas, że nie wolno pić alkoholu. Mój ojciec, choć czasami bił moją matkę, to stale powtarzał nam, że mężczyzna powinien być orędownikiem kobiet i dzieci. Ciągle udoskonalać. Od dość młodego wieku zacząłem wierzyć, że sensem życia człowieka jest ciągle doskonalenie tego życia. Ale w pewnym momencie, już w wystarczająco dorosłym wieku, nagle poczułem tak ogromne zmęczenie całym tym niekończącym się doskonaleniem, w które zaangażowało się całe otaczające mnie społeczeństwo, że jedyne, czego chciałem, to w każdy możliwy sposób, z całą mocą, zaprzeczać i opierać się temu pragnieniu udoskonalenia, chciałem złamać wszystkie zasady, wszystkie prawa, wszystkie kierunki. Byle tylko w żadnym wypadku nie iść w tę samą stronę, w którą idą wszyscy.

DOROTHY. Miłosierny Panie! Wydaje mi się, że teraz cytujesz z pamięci fragmenty z Jacka Londona, Bonch.

BONCH. Niedługo skończę, Dorothy, nie przerywaj. W tym celu, żeby zbliżyć się do tego, co chcę powiedzieć, muszę się trochę rozkręcić i stworzyć odpowiedni kontekst.

SANDY. Przypomniałaś Jacka Londona, a ja z jakiegoś powodu, Kurta Vonneguta.

DOROTHY. A kto to? Znowu jakiś jogin?

SANDY. Tak, nieważne. Sorry, Bonch. Kontynuuj, wylewaj te swoje pierdolety, słuchamy uważnie, no już.

BONCH. No i kiedy patrzę na was. Na ciebie, Sandy i na ciebie, Dorothy. To bardzo dobrze rozumiem, z czego jesteście ulepione. Takie ogólnie to jeszcze młode i piękne, nowoczesne kobiety. I bardzo dobrze rozumiem, z czego się składacie. Z jakich komponentów.

DOROTHY. Z każdą minutą jest coraz ciekawiej, Bonch, nie zwalniam.

BONCH. Jesteście mądre, ironiczne, rozwinięte, samokrytyczne, zawsze jesteście jakby trochę ponad tymi wszystkimi obywatelami, wszystkimi uczestnikami mediów społecznościowych, nie mówiąc już o tych, którzy oglądają telewizję, a potem z całą powagą chodzą na wybory. Głosują na Trumpa czy Bidena, myśląc, że to naprawdę wpłynie na ich

życie, ale przecież wy od dawna w to nie wierzycie, dlatego dla was wszyscy ci politycy i wszystkie te systemy są równie obrzydliwe i fałszywe. Bo przecież wy jakby wyraźnie widzicie, że tak naprawdę wszyscy ci politycy, albo kler czy biznesmeni, zawsze realizują tylko swoje osobiste cele podając je jako publiczne i bawi was traktowanie tego na serio. I niech wszyscy ci niezadowoleni z życia poszukiwacze sensów i przygód wymieniają się swoimi pomysłami, zarabiają na sobie nie zauważając, jak z nich kropla po kropli wypływa wszystko, co żywe i unikalne, tak długo aż ostatecznie przeistoczą się w mówiące ludzkimi głosami automaty poczty głosowej w swoich iphonach, za to wy – wy takie piękne, niepowtarzalne, wyjątkowe i bardzo tragiczne, ukryte za maskami snobek i freaków, w rzeczywistości, zachowujecie w sobie kawałeczek prawdziwego żywego życia. Nie wpadając w pułapkę całej tej etyki społecznej, która według was z dnia na dzień coraz bardziej zamienia się w system kontroli i poskramiania. Ale wy jesteście przeciwko wszystkim systemom i przeciwko podążaniu za tłumem. Ponieważ uważacie, że tłum nie ma wolności osobistego wyboru. Tłum to zawsze nikt. Przecież ja to wszystko rozumiem. Jesteście takie zaskakujące, niezwykle, mądre. A ja dla was oczywiście jestem powodem do kpin. Przedstawiciel całego tego mieszczańskiego światka, w którym ludzie wciąż wierzą w zasady społeczne. Zacofane, zwyczajne, szare nieciekawe ludziki wciąż jeszcze wierzą w to, że jeśli społeczeństwo tak zdecydowało, to tak to będzie, zabawne! Ale wy! Wy Dorothy i Sandy, wy nie jesteście takie jak my wszyscy. Wy ze wszystkich sił staracie się utrzymać na polu szczerości wobec siebie. Jesteście bardziej skłonne wybrać zło niż to plastikowe życie w youtube. Gdzie naćkany kokainą lub jogą Kundalini czy podcastami Joe Rogana tłum narcyzów zakochanych w swojej sprawie zachęca wszystkich do latania w kosmos i przekraczania wszelkich granic swoich wątpliwości, wymazywania wszelkich wątpliwości i granic, aby pewnego dnia gdzieś w okolicach Marsa lub w obszarze zdigitalizowanego mózgu, nagle mogłybyście w końcu znaleźć to, ze względu na co ten potężny ruch się rozpoczął – wolność. I wiadomo, że od tak szalonego pomysłu staracie się trzymać jak najdalej, ponieważ nie wierzycie, że dla uzyskania wolności, potrzebne są jakieś idee i metody. Jesteście całkowicie odmiennie usposobione. Uważacie, że jedyną drogą do wolności jest zasada ciągłego zaprzeczania i odrzucania, i stąd w was ta ciągła potrzeba wyśmiewania i kwestionowania wszystkiego, żeby do niczego się nie przykleić i nie przylepić, ponieważ uważacie, że bycie naprawdę wolnym oznacza bycie wolnym od wszystkiego. I dlatego musicie błaznować i atakować. Bo wydaje się wam, że tylko w ten sposób możecie ukryć się przed wszystkimi i udawać, że jesteście niby wciągnięte w całe to plastikowe gówno, a tak naprawdę pozostaniecie w sobie, w swoim prawdziwym życiu, w którym zastrzegacie sobie

prawo do bycia złymi, nietolerancyjnymi, agresywnymi, ale za to bycia naturalnymi a znaczy żywymi. No. Tak to widzę. A ponieważ wyjeżdżam. I wątpię, że się kiedykolwiek zobaczymy. Przyszedłem do was, żeby powiedzieć wam na pożegnanie kilka bardzo szczerych, naprawdę szczerych słów. Mam nadzieję, że pozwolicie mi to powiedzieć? Postaram się streszczać.

DOROTHY. Zaraz, zaraz! Czy ty chcesz powiedzieć, że przez pół godziny nakurwiałeś tu monolog, ale to jeszcze nie jest to, co planujesz nam powiedzieć?!

BONCH. Potrzebowałem tego wstępu, żeby wskazać kontekst, w którym się znajdujemy, byście to, co powiem teraz, usłyszały i przyswoiły absolutnie adekwatnie. A zatem. Czy mogę przejść do sedna tego, co chciałbym wam powiedzieć?

SANDY. Czyli co, chcesz powiedzieć, że my wciąż jesteśmy na samym początku twojego występu?!

BONCH. Jesteśmy przy linii sensu.

DOROTHY. Jesteśmy przy linii sensu, Bonch?!

BONCH. Tak.

DOROTHY. Dobra, Bonch. Przekroczmy tę linię. Co tam, Sandy?

SANDY. Nie mam pewności, czy jestem osobą, która może przekroczyć linię sensu takiego człowieka jak Bonch.

DOROTHY. Tak czy inaczej, słuchamy cię. Wal dalej.

Pauza.

BONCH. Widzicie, przychodzę do ludzi nie po to, aby narzucać im jakieś kolejne sensy i idee. Chcę tylko i wyłącznie podziękować każdemu, kogo spotkałem w swoim życiu tu w Waszyngtonie, kto był częścią mojego życia, pośrednio i bezpośrednio, mieszkał razem ze mną, lubiąc mnie albo nie lubiąc, współczując albo śmiejąc się ze mnie, wszystkim, którzy dzień po dniu żyli ze mną to życie. No i na koniec chcę z całego serca zostawić wszystkim tym ludziom malutki prezent w podziękę za wspólnie przeżyte, bez względu na to, jakie były, dni naszego życia. Dlatego przyjmijcie ode mnie ten dar. Ten prezent w postaci Wiedzy, bo – no co może być cenniejszego od Wiedzy? I teraz chcę podzielić się z wami tą Wiedzą, która, jeśli ją prawidłowo usłyszeć i właściwie zrozumieć, może bardzo mocno zaoszczędzić wasze finanse i uchronić przed trwonieniem, abyście już na próżno nie wydawały tak dużych pieniędzy na wszystkie te kosmiczne wyprawy, mikrodawkowanie i bihar jogę, swój budżet. Ponieważ od właściwego zrozumienia to i całe życie staje się właściwe, zaś od błędnego

zrozumienia to życie zamienia się w jedno ciągle poszukiwanie czegoś nowego, przy czym tego poszukiwania nie można zatrzymać, ponieważ gdy tylko ktoś znajdzie coś nowego, to natychmiast w tej samej sekundzie to nowe staje się przestarzałe i nie jest już nowe, więc teraz musimy ponownie rzucić się na poszukiwanie i tak cały ten absurd trwa, jeśli zdążyliście zauważyć, kilka tysięcy lat. Jeśli więc naprawdę chcemy wyjść z tego szalonego kręgu w pogoni za najlepszym i najnowszym, musimy podjąć jedno bardzo ważne działanie. Działanie, które przeniesie nas z jednego świata do drugiego, musimy podjąć działanie, które raz na zawsze zmieni to nasze przestarzałe spojrzenie na tę rzeczywistość. Tylko po to, żeby przeprowadzić to działanie, musimy dojść do wiary. Musimy uwierzyć w to, że to, co zamierzamy zrobić naprawdę może się udać. I dlatego potrzebujemy wiary. A wiarę umacnia Wiedza. Ponieważ wierzyć w to, co dokładnie wiesz, jest o wiele łatwiej niż wierzyć w to, o czym mówią ci jacyś dziwni ludzie ubrani w jakieś dziwne szerokie baldachy i nazywający siebie kapłanami, trudno uwierzyć w to, czego nie wiesz, a zatem Wiedza jest niezwykle ważna. I dlatego jestem gotów podzielić się tą Wiedzą właśnie teraz. Zatem bądźcie gotowe, by usłyszeć i posiadać tę wiedzę. Wsłuchujcie się w każde wypowiedziane słowo z otwartym umysłem i sercem. I niech tak będzie. A teraz, za waszą zgodą, wygłoszę swoją mowę pożegnalną.

SANDY. A to że niby znowu odjechałeś kolejną porcję posranego wstępu? Na rany Chrystusa, Bonch!

DOROTHY. Dobra, Bonch, weź ty już na serio przejdź do swojego przesłania. Bo kolejnego takiego półgodzinnego wstępu nasz mózg po prostu nie wytrzyma.

SANDY. No dalej, Bonch albo spadasz stąd albo przechodzisz do sedna.

Pauza.

BONCH. Dobrze, oto sedno.

Pauza.

BONCH. Nikt z ludzi żyjących na tej planecie nie może wiedzieć, gdzie tak naprawdę rosną najwyższe drzewa na ziemi. Dlatego, że jeśli nazwiesz jakieś drzewo najwyższym ze wszystkich, to to oznacza, że musisz znać wszystkie drzewa na tej planecie, aby mieć taką możliwość i je porównać. Ale żaden człowiek nie zna wszystkich drzew na ziemi, ponieważ nawet przy użyciu nowoczesnych technologii i tak nie da się poznać wszystkich drzew.

Zwłaszcza, że oprócz drzew widocznych dla oka są też drzewa, których ludzkie oko i urządzenia techniczne nie mogą zarejestrować, bo drzewa te w swojej strukturze są cieńsze niż najcieńsze fale. Dlatego, że te drzewa nie znajdują się w trójwymiarowej przestrzeni fizycznej, a nawet w polu energii falowej, dlatego, że one, te drzewa znajdują się wewnątrz nas. Zatem. Ja Jonathan Bonch, będąc przy zdrowych zmysłach i trzeźwej świadomości, zachowując przytomność umysłu, nie będąc pod wpływem żadnych substancji narkotycznych, alkoholowych lub zmieniających psychikę, z całą bezpośredniością i szczerością deklaruję, że Jedyne Najwyższe Drzewa na Ziemi są wewnątrz nas. A teraz zadam wam pytanie. Czy wiedzieliście o tym wcześniej, zanim wam o tym powiedziałem? Wiedziałaś o tym, Dorothy?

DOROTHY. Och, Bonch. No jak ja mogłam o czymś takim wiedzieć? Chyba, że przeczytałabym o tym w jakimś popierdolonym *trashowym* komiksie, ale i to raczej wątpię. Tym bardziej po tym, co nam obwieściłeś, nie jestem pewna, czy w najbliższym czasie uda mi się odzyskać tę brakującą jakość – choć cokolwiek zrozumieć.

BONCH. A ty wiedziałaś o tym Sandy?

SANDY. Nie, Bonch. Dla mnie to wszystko też było całkowitym zaskoczeniem i raczej nie można się na coś takiego przygotować? No chyba, że nażreć się haluprotaminy, ale nawet to nie pomoże.

BONCH. No same widzicie! Dzisiaj już mało kto wie o takich rzeczach. A ponieważ wyjeżdżam. I już więcej się nie zobaczymy. To na pożegnanie chcę zostawić każdej z was coś bardzo ważnego i pożytecznego. Coś, z czym możecie teraz żyć szczęśliwie. To jest mój prezent dla was. Oto wiedza, bierzcie ją. Jedyne Najwyższe Drzewa na Ziemi znajdują się wewnątrz nas, zaczynają się w naszych stopach i następnie wznosząc się do góry swoimi korzeniami wchodzą do kości ogonowej, a już z kości ogonowej wychodzą na światło i ciągną się do góry wzdłuż kręgosłupa do samej makówki, wychodząc swoimi koronami do nieba. W ten sposób, okazuje się, że te drzewa przenikają całe wasze ciało na wylot od góry do dołu. A teraz, kiedy już o tym wiecie. Kiedy stało się to dla was nie tylko wiarą, ale też wiedzą, to w takim razie powiedzcie mi, no czy wy widzicie jakikolwiek sens w tym, aby rozwijać cały ten absolutnie bezsensowny, beżużyteczny i bardzo zagrażający naszemu życiu postęp techniczny? I z tym pytaniem was zostawiam. Myślcie. Badajcie. Szukajcie. Kwestionujcie. Ale przy tym zawsze polegajcie na wiedzy, którą zdobyliście dzisiaj. Wzmacniajcie swoją wiarę w to, że wszystkie te drzewa, którymi jesteśmy, są z kolei jednym wspólnym sadem. Sadem naszej zawsze nowej i nigdy nie zmieniającej się miłości. I właśnie dlatego Wiedza o tym, że jedyne najwyższe drzewa na ziemi znajdują się wewnątrz nas jest

dzisiaj bardzo ważna. Ponieważ ten, kto zna prawdę o drzewach, tylko ten nie zboczy z właściwej drogi. A co to za droga, wyjaśnię wam później, jakoś innym razem. A teraz żegnajcie. Wszystkiego wam najlepszego. Uważajcie na siebie. No i to chyba będzie na tyle. Żegnajcie. Nie zapominajcie o mnie. A jeśli to nie problem dla was, od czasu do czasu idźcie do drzewa Sama. Módlcie się tam, jak umiecie, w miarę swoich możliwości. I niech rzeka, która zabrała mi syna, zabierze teraz wszystkie wasze troski i wasz niekończący się smutek. Pamiętajcie, miłość jest rzeką i nie trzeba jej przepływać z jednego brzegu na drugi. Po prostu trzeba w niej utonąć. Do widzenia.

Bonch po kolei ściska dłonie Sandy i Dorothy. Potem odchodzi.

Długa pauza.

SANDY. O mój Boże, biedny Bonch. Zwariował!

DOROTHY. Chyba z rozpaczy?! Biedactwo, Bonch.

SANDY. No masz, jaki tragiczny los mu przypadł. Matka alkoholiczka bita przez męża, syn utonął i jeszcze żona go porzuciła, no wiadomo, kto coś takiego wytrzyma?

DOROTHY. A wiesz, przecież na początku absolutnie uwierzyłam, że on wyjeżdża.

SANDY. Tak, ja też. No oczywiście. I pierwszy dzwonek zabrzączał mi dopiero wtedy, kiedy Bonch zaczął nam tłumaczyć nasze poglądy na życie.

DOROTHY. Dokładnie. Ja też wtedy pomyślałam, że zdaje się Bonch coraz bardziej i bardziej odjeżdża gdzieś zupełnie, zupełnie nie tam. No a potem, kiedy już zaczął mówić o wiedzy, to nagle zaczęłam uważnie obserwować jego gesty i spojrzenie. I wiesz, co mi od razu rzuciło się w oczy? Jego niewiarygodne przekonanie co do tego, że mówi coś sensownego.

SANDY. No, to jest przecież pierwszy objaw choroby psychicznej – niezachwiane przekonanie o słuszności tego, co mówisz.

DOROTHY. A w dodatku jeszcze syndrom maniakalny, wyraźnym objawem którego jest przekonanie, że posiadasz pewną wiedzę, która pomoże innym.

SANDY. Biedny, biedny, Bonch. Jak możemy mu pomóc? Prawdopodobnie musimy skontaktować się z jakimś psychiatrą.

DOROTHY. I to im szybciej tym lepiej, bo on przecież teraz chodzi z całym tym swoim szalonym kazaniem i straszy ludzi. Och... niedobrze mi. Ble!

Dorothy marszczy twarz, kręci głowę.

SANDY. Ale czemu? Jadłyśmy tylko ciastka, dziwne. Chodź, zaparzę ci świeżej mięty w szklance, to pomoże.

DOROTHY. Ble!! No nie wiem, mam takie wrażenie, jakby zaraz coś ze mnie miało wyjść. Będę rzygać. Wiadro. Szybciej, bo rzygam.

Sandy chwytą wazon z kwiatami, wyrzuca kwiaty i podaje wazon Dorothy.

SANDY. Masz wazon, rzygaj do niego.

DOROTHY. Ojej!!

Dorothy wymiotuje do wazonu. Po prostu wywraca ją na lewą stronę.

SANDY. Boże! Ale cię skręca! Oj! Ojej! Mnie też zemdliło! Ojej!! Panie Jezu! Ja zaraz też chyba... No co myśmy takiego zjadły, że nas... Daj mi wazon. Dawaj szybciej no...

Dorothy oddaje wazon Sandy. Sandy wymiotuje do wazonu. Ją również wywraca na lewą stronę.

Przez pewien czas Sandy i Dorothy na zmianę wymiotują do wazonu, przekazując go sobie. Wykrzykując: „Och. Co myśmy takiego zjadły?! Ojej...”

W końcu przestają wymiotować i dochodzą do siebie. Łapczywie piją wodę.

Przez chwilę milczą.

SANDY. Co myśmy takiego zjadły, jak myślisz?

DOROTHY. Nic nie zjadłyśmy. Nie ma co w ogóle o tym myśleć. Było, minęło. Dzięki Bogu minęło i tyle.

Przez chwilę siedzą w milczeniu.

SANDY. Nie wiem, co to było? Ale czuję dużą ulgę. Tak jakby całe gównno mojego życia wyszło ze mnie. Fuj.

DOROTHY. Mnie też dużo, dużo lepiej. Tak jakby wyszło ze mnie jakieś najbardziej gówniane gówno, z którym żyłam przez całe życie. Uf! Pięknie!

Przez chwilę siedzą w milczeniu.

SANDY. Tak. Jak to mówią – i ja w młodości latałam balonem, kiedy wszyscy trzymaliśmy się tylko powietrza. Aż w końcu zdałam sobie sprawę, że nie można kochać dwa razy.

DOROTHY. Znowu obgadujemy Boncha, tak?

SANDY. Nie no, przecież nie będziemy gadać o polityce, co nie?

DOROTHY. Nie można kochać dwa razy?

SANDY. Tak.

DOROTHY. Tak?

SANDY. A wiesz, ta kobieta, która z nim mieszka, Monica, ona przecież śpiewa w zespole jazzowym. Występuje w różnych klubach.

DOROTHY. Mój Boże, przecież tak naprawdę bardzo trudno znaleźć sobie normalnego faceta w świecie, w którym wszyscy mężczyźni są jedynie pyłkiem kwiatów no i gdy akurat wydaje się, że trafił się facet, no, tam z pewnymi niuansami, oczywiście, w stylu, że syn utonął, żona odeszła, ale ogólnie jakby ok, bywa gorzej, jakiś polityk nie daj Boże. A tutaj proszę: dobry, czuły, uważny. Zaopiekuje się dziećmi, kiedy mama wieczorami tam śpiewa w klubach i pieprzy się po garderobach. I nagle masz. Dostaje świra. I koniec szczęścia. A przecież nie można kochać dwa razy... No w każdym razie, przecież rozumiesz, o czym mówię?

SANDY. A ty przypadkiem nie zapamiętałaś, co tam Bonch mówił o tych drzewach? Że jakby rosną w nas od dupy do głowy, dobrze rozumiem?

DOROTHY. No że niby my jesteśmy tymi drzewami, coś w tym rodzaju. Bonch, Monica, ty, ja, dzieci Moniki i synek Boncha, który utonął, wszyscy jesteśmy Jedynymi najwyższymi drzewami na ziemi. To, jak myślę, to już nie humanizm i nawet nie transhumanizm, a to już jest takie kwantowe jakieś pojmowanie człowieka i miejsca, do którego dotarł. W sensie, Bonch chce powiedzieć, że od teraz wszystkie nasze idee, wszystkie nasze poglądy na życie, światopoglądy, systemy naszych wartości, wszystko to teraz przestało mieć znaczenie. Dlatego że cała nasza poprzednia pojebana ortodoksalno-paranoidalna kultura była zbudowana na tym, że kochać można nieskończoną ilość razy i im więcej, tym lepiej, a tak naprawdę nawet dwa razy nie można kochać, a tylko jeden jedyny nieskończony, nigdy nieprzerwany heroinowy raz.

SANDY. A jeśli się nie uda, to znaczy, po prostu najzwyczajniej śmierć?

DOROTHY. Tak.

SANDY. Tam, gdzie kończy się piękno wszystkich naszych słów i zaczyna się dążenie do wymyślenia słów, tam jest po prostu śmierć?!

DOROTHY. Tak, tak i tak!! Tam jest po prostu śmierć!!

SANDY. Tam po prostu śmierć.

DOROTHY. Tak, tam po prostu śmierć.

SANDY. Tam po prostu najzwyczajniej jest śmierć.

DOROTHY. Tak, tam po prostu śmierć.

SANDY. Po prostu śmierć.

DOROTHY. Raz, dwa, trzy i wszystko się zatrzymuje, tak?

SANDY. Bomba spada na twój dom i więcej nie ma całej tej kultury.

DOROTHY. Biedny, biedny, Bonch. Trudno być szalonym w świecie, w którym wszyscy myślą o sobie, że kto, jak kto, ale my to w porządku.

SANDY. Chociaż w rzeczywistości prawie nikt nie jest w porządku.

DOROTHY. Ale o to właśnie chodzi, że w ogóle nikt nie jest w porządku.

SANDY. No może dwie, trzy osoby, ale to na pewno nie my.

DOROTHY. No tam, ten, jak mu? Dalajlama jakiś. W sumie jest w porządku, jakby. Chociaż też po coś nosi ten czerwono-żółty szlafrok, może żeby chować się za nim przed wszystkimi swoimi jebniętymi w głowę fanatykami?

SANDY. No właśnie!

DOROTHY. Albo Bonch.

SANDY. A co, Bonch?

DOROTHY. Być może, on tak naprawdę jest tylko o jeden mały krok?

SANDY. Jeden krok od czego?

DOROTHY. Od tego, żeby zaprzestać udawania życia.

SANDY. Ty wiesz, że w teatrze udają życie?

DOROTHY. No oczywiście. Ludzie płacą pieniądze za to, żeby siedzieć sobie spokojnie w ciemnej sali i patrzeć, jak na oświetlonej światłem scenie udają życie. Właśnie tu i teraz.

SANDY. Lubię to.

DOROTHY. I właśnie teraz.

SANDY. Czuję to.

DOROTHY. I ja to czuję.

SANDY. Właśnie teraz.

DOROTHY. Właśnie teraz, tak.

SANDY. Udajemy życie.

DOROTHY. Tak.

SANDY. Teraz.

DOROTHY. Jakby ktoś patrzył na ciebie, kiedy ty udajesz życie.

SANDY. Tak.

DOROTHY. Tak.

SANDY. Udajemy życie.

DOROTHY. I to wszyscy.

SANDY. No właśnie.

DOROTHY. Wszyscy tylko to robią, że udają życie.

SANDY. Nie można kochać dwa razy.

DOROTHY. Nie.

SANDY. A Bonch jest szalony, zdrowo zrypany beret, zjeb.

DOROTHY. No, tak.

SANDY. Nie można kochać dwa razy, bo miłość to jest tylko to, co czujesz dopóty, dopóki nie nastąpi drugi raz, no a wtedy przychodzi kres każdej miłości, bo nie można kochać dwa razy.

DOROTHY. I szczerze mówiąc, niech on się pierdoli, ten Bonch. Nie da się tak żyć, żeby wszystko sprowadzało się tylko do niego. Jest jeszcze jakieś inne życie. Przed Bonchem, oprócz Boncha, po Bonchu.

SANDY. No dokładnie, jest jeszcze też inne życie niż życie zbudowane z dyskusji o życiu Boncha.

DOROTHY. Dlatego, że nie można kochać dwa razy.

SANDY. No coś w tym stylu.

DOROTHY. Jeden raz pokochać zupełnie wystarczy, żeby pokochać na zawsze.

SANDY. No coś w tym stylu.

DOROTHY. Żeby zawsze była tylko jedna jedyna wysoka miłość na ziemi.

SANDY. Tak.

Pauza.

Wchodzi Bonch.

BONCH. Omal nie wyjechałem bez jednego bardzo ważnego wyjaśnienia, które zapomniałem wam przekazać wraz z tą wiedzą, którą otrzymałyście o Jedynych najwyższych drzewach na ziemi.

DOROTHY. Ah! A tak przy okazji, dobrze, że wróciłeś Bonch, bo akurat mamy tu taki jeden telefon pewnej kobiety, do której musisz zadzwonić i opowiedzieć jej tę swoją jazdę o drzewach. Ona wszystko zrozumie i pomoże ci, po prostu zadzwoń do niej.

BONCH. Nie rozumiem o jakiej kobiecie mówisz, ale to nieważne.

SANDY. Nie, to ważne, Bonch, ponieważ ta kobieta jest najlepszą psychiatrą w Waszyngtonie.

DOROTHY. Ludzie, którzy modlą się do drzew w parkach to jej specjalizacja.

SANDY. Zapisz jej numer, Bonch.

BONCH. Być może uważacie mnie za szalonego, skoro sugerujecie psychiatrę, ale to na próżno. Jutro tak czy inaczej wyjeżdżam, więc w tym kraju już nikt mi nie pomoże, zresztą nie potrzebuję pomocy. Kiedy bilet lotniczy w kieszeni spodni parzy twoje biodro, nie myślisz już o niczym innym niż lot, który jest praktycznie nieunikniony. Ale wróciłem zupełnie nie dlatego.

DOROTHY. No oczywiście, że nie dlatego. A dlaczego, Bonch?

BONCH. Tak, nie dlatego, nie po to, żeby ponownie rozmawiać na stare tematy. Wróciłem tylko dlatego, że nie do końca poprawnie wybrzmiała instrukcja, którą wam dałem o drzewach, ponieważ zapomniałem wspomnieć o jednej ważnej rzeczy, no jak to się stało?! Jak mogłem zapomnieć?! Zakręcony jestem. Dużo na głowie. Mnóstwo myśli i idei. W każdym razie zapomniałem wskazać wam jedną ważną rzecz, bez której korzystanie z wiedzy o Jedynych najwyższych drzewach jest po prostu niemożliwe.

Pauza.

DOROTHY. No i?

BONCH. Tak naprawdę, opcja włączania i wyłączania drzew jest w waszych rękach. Macie prawo włączać i wyłączać. Wszystko wokół. To znajduje się u was. Macie nad tym pełną kontrolę. Włączać i wyłączać. No i tyle.

Pauza.

SANDY. Dobrze, że to powiedziałaś, Bonch.

DOROTHY. Tak, dzięki, że chciało ci się wrócić.

BONCH. No a jak inaczej. Przecież to jest najważniejsze.

SANDY. Dziękuję, że nie wyjechałeś nie informując nas o tym.

BONCH. Nie no, to wy mi wybaczcie, że od razu wam nie powiedziałem. Po prostu tyle wszystkiego, różnych myśli i idei, że czasami gubi się to, co najważniejsze. No też śmieszne, co? Powiedziałem, jak to działa, ale zapomniałem wspomnieć o tym, że możecie to włączać i wyłączać. Śmieszne, nie?

DOROTHY. Strasznie mocno śmieszne, Bonch.

SANDY. Nigdy nie słyszałam nic śmieszniejszego niż ten twój żart.

BONCH. To nie żart.

Pauza.

BONCH. No dobra. Skoro to powiedziałem. I teraz wiecie, że można włączać i wyłączać, to pójdę.

DOROTHY. Dobrej podróży, Bonch.

SANDY. Powodzenia, Bonch. Jakby co, mamy telefon psychiatry. Tak że ten, dzwoń.

BONCH. Powtarzam jeszcze raz, nie potrzebuję żadnego psychiatry.

DOROTHY. No, może ty nie potrzebujesz, ale twojej Monice raczej się przyda. Tak że wyślemy jej SMS-a z tym numerem, po prostu na wszelki wypadek. Wszystkiego dobrego, Bonch.

SANDY. Do widzenia, Bonch. Wszystkiego dobrego. Powodzenia. Pa, pa.

BONCH. Życzę wszystkim Wesołych Świąt Bożego Narodzenia w przyszłym roku.

Bonch stoi nieruchomo, patrzy na Dorothy i Sandy. Wszyscy stoją i patrzą na siebie. Życzę wszystkim Wesołych Świąt w przyszłym roku.

KURTYNA

Trzecia redakcja (polska),
Warszawa, 6 lipca 2022 r.